

REGINA WINOGRAD ur. 1927; Lublin

| | |
|--------------------------------------|--|
| Tytuł fragmentu relacji | Wybuch II wojny światowej i lata okupacji |
| Zakres terytorialny i czasowy | Lublin; II wojna światowa |
| Słowa kluczowe | Lublin, okupacja, opaski z Gwiazdą Dawida, ulica Lubartowska, Unicka, egzekucje, zagłada lubelskich Żydów, Rozkopaczew |

Wybuch II wojny światowej i lata okupacji

To było w sobotę we wrześniu 1939 roku. Pamiętam, jak zaczęli bombardować Lublin. Ludzie ranni biegli za Rogatkę [Lubartowską]. Wszyscy biegli za Rogatkę. To był straszny widok. Wszyscy mężczyźni musieli kopać okopy. Strasznie baliśmy się. Nie pamiętam, kiedy Niemcy wkroczyli do Lublina. Mniej więcej po dwóch tygodniach od rozpoczęcia wojny wkroczyli do Lublina. Wszyscy krzyczeli na ulicach, żeby nie podchodzić do okien, bo był wypadek, że jak widzieli kogoś w oknie, to strzelali w okna. Bardzo baliśmy się wtedy. Ponieważ moja Mamusia przeżyła I wojnę światową i wiedziała, co to są Szwaby. Ona bardzo, bardzo się bała. Bardzo szybko zaczęło się tworzyć getto w Lublinie. Pamiętam, jak chodziliśmy i szukaliśmy, gdzie sprzedają chleb. Szłam od Rogatki aż gdzieś za Krakowskie Przedmieście. Nawet nie pamiętam na jakiej ulicy. Od razu musieliśmy ubrać opaski. Najpierw żółte gwiazdy, a potem Magen Dawid. Ja i moja siostra nie ubraliśmy tego i poszliśmy stać w kolejkach, szukać chleba. Mogliśmy ustać tam kilka godzin i przyjść do domu bez chleba albo gdy zaczęto dzielić chleb na pół, potem na ćwiartki, mogliśmy przynieść albo ćwiartkę albo wrócić bez chleba. Pamiętam, że szliśmy w zimie. Mamusia owinęła nam buty szmatami. To było rano, a nie wolno było nam wyjść z domu, bo przecież były godziny, kiedy wolno było wychodzić i kiedy nie wolno było chodzić po ulicach. Na Lubartowskiej po lewej stronie była hala. Tam stali Niemcy. Musieliśmy przejść tę halę, żeby pójść dalej, bo tam gdzieś dalej była jakaś piekarnia, gdzie dzielili chleb. Jak przeszliśmy tę halę to tak, jak byśmy przeszły jakieś piekło. Udało nam się przejść bez opasek i bez gwiazd. Byłyśmy jedyne z siostrą, które mogły dostarczyć chleb do domu, bo ani ojciec nie mógł iść, ani matka nie mogła iść.

Pamiętam, gdy raz wracaliśmy. Mieliśmy ćwiartkę chleba w ręku i przed halą Niemcy złapali jakiegoś Żyda i strasznie go bili. Zebrali tam ludzi, żeby wszyscy stali dookoła i żeby wszyscy się patrzyli, jak oni jego biją. Wracaliśmy z tej piekarni i zatrzymaliśmy się przy hali, i wszyscy tam stali. Myśmy były dziećmi, więc nam nic nie powiedzieli i poszliśmy dalej. Przyszliśmy do domu i powiedziałyśmy rodzicom wszystko, co widziałyśmy, i byłyśmy strasznie poruszone. Wtedy mamusia powiedziała, że musimy coś zrobić, żeby uciec stąd. Ale dokąd można uciekać?

Mieszkaliśmy vis a vis szkoły i w tej szkole byli Niemcy. Raz przyszli do nas do domu Niemcy i

wzięli wszystkie kobiety, żeby poszły do nich sprzątać. Ponieważ Mamusia bała się zostawić dzieci, więc ja ubrałam taki fartuch i zawiązałam chustkę, i wzięłam mamusi pantofle, że niby ja jestem duża. Oni nie tyle wzięli wszystkich, ile szukali młodych ludzi, żeby pracowali u nich. U nas było sześcioro dzieci. Siostra i ja byłyśmy starsze, ale pozostałe, to były małe dzieci, więc jak mamusia mogła je zostawić? Więc ja ubrałam się i stanęłam z ludźmi, ponieważ oni chcieli jakąś liczbę ludzi, więc stanęłyśmy - siostra i ja - do pracy. Wzięli nas do pracy. Pamiętam jeszcze, że dali nam kawałek chleba i świece, bo przecież światła nie było. Tam pracowałam kilka razy. Później nadeszła zima. W zimie też tam pracowałam. Zamiatałam tam śnieg. Ja nie pamiętam dat, w ogóle nie pamiętam dat. Ja pamiętam tylko czas.

Muszę zaznaczyć, że gdy kazali nam nosić żółte gwiazdy lub opaski, to człowiek nic nie czuje. Ja dzisiaj mniej więcej próbuję sobie wyobrazić. Jestem dzieckiem, jestem Żydówką i gonią mnie jako Żydówkę. Nie jako człowieka, który popełnił jakieś przestępstwo. Tylko jako Żydówkę gonią mnie i chcą mnie zabić. Moim zdaniem, że w takiej sytuacji, w jakiej ja byłam wtedy, człowiek nie zastanawia się nad niczym. Chce żyć i to wszystko! Chce żyć! Chce kawałeczek chleba. Chce przynieść do domu jeszcze kawałeczek chleba. Ale jedną rzecz wiem - w moim wieku, dziewczynka dwanaście lat, raptem dostałam wielką odpowiedzialność. Odpowiedzialność, że muszę przynieść do domu chleb, bo jeżeli tatuś wyjdzie, to go złapią i go zabiją. Może on jest podobny do Żyda, a jeżeli jest podobny, to go złapią. Jeżeli go złapią i on wyszedł bez opaski, to go poproszą o dokumenty i dojdą, że on jest Żydem, to go zastrzelą na miejscu. Jedyna rzecz, którą wiem, to że już w tym wieku miałam wielką odpowiedzialność. Odpowiedzialność - szukać chleba dla dzieci. To jest jedno uczucie. Ja nie zastanawiałam się wtedy, co mnie to robi, czy robi mi to źle czy dobrze. Bałam się bardzo, a przy tym miałam tyle odwagi, bo nie miałam rady. Jak człowiek nie ma rady, to robi wszystko. Fakt, że ja poszłam, jak przed śmiercią. Bo gdyby mnie złapali i zapytali się, kto ja jestem i gdyby dowiedzieli się, kim jestem, to by mnie zastrzelili na miejscu. U nich nie odgrywało to żadnej roli. Chodzili po ulicach i jeżeli ktoś obok nich przeszedł, to potrafili zdjąć mu czapkę z głowy i rzucić na ulicę. Jeżeli ten ktoś szedł po tę czapkę i okazało się, że jest Żydem, to go zastrzelili. U nich to była zabawa. Rozstrzeliwanie ludzi to była zabawa.

Ja mieszkałam niedaleko cmentarza. Na Unickiej był cmentarz. Codziennie jechały tam towarówki i na towarówce pełno ludzi do rozstrzelania. Myśmy wiedzieli, jedzie towarówka z ludźmi, po kilku minutach słyszeliśmy rozstrzeliwanie. To już było prawie jak powszedni chleb. Prawie codziennie jechały tam towarówki, nawalone pełno Żydów, ilu tylko mogli tam wepchać i rozstrzeliwali ich tam. Po kilku minutach słyszeliśmy kulomiot.

Zdaje mi się, że w Lublinie były takie roboty, na które chodzili ludzie, w tym mój tatuś. Nie wiem, kto je organizował, ale wiem, że zbierali dużo ludzi, którzy chodzili na roboty. Na ciężkie roboty. Musieli taszczyć jakieś worki, ja sama nawet nie wiem, co oni tam dokładnie robili. Nawet nie wiem, skąd mieliśmy pieniądze. Przecież mój tatuś nie zajmował się sadami. Ostatni raz, gdy się tym zajmował, to było w 1938 r. Raz jeden, pamiętam, tatuś przyniósł jakieś stare ubrania i mamusia je prasowała. Ja poszłam z tatusem na targ, żeby je sprzedać. Ubrałam się, jak dorosła. To trwało jednak bardzo krótko. Bardzo krótko po tym Niemcy otworzyli już getto, a wtedy nic już nie mogliśmy robić. Ja sobie wyobrażam, że żyliśmy z tego, co mieliśmy w domu, z jakichś oszczędności, które mieliśmy w domu, ale dokładnie tego nie wiem. Jednak osiem osób musiało coś jeść. Było dobrze, jak był jakiś kawałek chleba i mama kupiła jakieś zamrożone kartofle, gorzkie. Pamiętam, że zrobiła z nich zupę, a ja powiedziałam: "Mamusiu, kartofle gorzkie", a mamusia odpowiedziała: "Jedzcie, jedzcie dzieci, bo nie ma nic innego". Gorzkie, zamrożone kartofle.

Później Mamusia sprzedała za grosze wszystko, co mieliśmy w domu. Za grosze sprzedała jakieś futro, jakiś aksamitny kilim. Sprzedała piękną szafę z rzeźbami, która rozbierała się na wiele kawałków. Sprzedaliśmy wszystko, co było w domu i z tego widocznie się żyło, dopóki rodzice nie postanowili, że musimy zostawić mieszkanie i uciekać. Wtedy postanowiliśmy, że uciekamy i wtedy wyjechaliśmy na wieś. Do getta nie weszliśmy. Gdybyśmy weszli do getta, to mnie by dzisiaj tutaj nie było. Ja bym dzisiaj tego nie opowiadała.

W tej wsi cała rodzina pracowała. Od największego do najmniejszego. Nie płacili nam, tylko dawali jedzenie: trochę kartofli albo trochę fasoli, żeby na kawałkach drzewa zrobić małe ognisko i coś ugotować albo upiec kilka kartofli. To był luksus. Albo dawali trochę mleka dla dzieci. To też był luksus. Tam siedzieliśmy przez jakiś czas, dopóki Niemcy nie weszli do nas i katowali nas. Bardzo nas bili. My byliśmy bici tam dwa razy. Po drugim razie już nas wieśniacy nie chcieli trzymać.

Pamiętam, pewnego razu już nie byliśmy wszyscy razem. Mamusia z trojgiem dzieci osobno, bo nas nie chcieli już razem trzymać. Umarł nam brat i pamiętam, że ja chciałam pobiec do księdza, bo ksiądz to był jedyny człowiek na wsi, który mógł pomóc też jak lekarz lub pielęgniarka. Ja chciałam biec do księdza jak do lekarza, a ten ksiądz wiedział, że my jesteśmy na wsi. Ja podeszłam tam, gdzie ksiądz mieszkał, a tam siedzieli Niemcy. Nie mogłam już tam wejść. Gdy wróciłam, to mój brat już umierał. Piękny dzieciak jak marzenie - blondas, duże piękne, niebieskie oczy, zdolny, udany, ale trudno, odszedł.

Nie mogliśmy go pochować, bo nikt z wieśniaków nie chciał zawieźć go na cmentarz, bo się bali. Pamiętam, że mamusia coś tam jeszcze miała i dała jednemu kilka złotych i ten się zgodził. Jechał przez łąki, przez pola, nie przez drogi. Zawieźliśmy go na cmentarz i tam go pochowaliśmy. Był to cmentarz żydowski. Zdaje mi się, że to było aż w Ostrowie Lubelskim. Nawet dobrze nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że ludzie nam potem powiedzieli, że on sobie coś zasłużył u Boga, że go normalnie pochowali.

Polacy odnosili się do nas normalnie, bo my usługiwaliśmy im. Mój tatuś pracował na maszynie tkackiej. Pięknie wyrabiał płótno. W Lublinie w Muzeum Wsi można zobaczyć takie warsztaty tkackie. Mój tatuś był zdolnym człowiekiem. Wyrabiał wieśniakom piękne płótna. Trzymali nas dotąd, dopóki mogli. Mam wrażenie, że gdyby nie było tak groźnie, to oni trzymaliby nas dalej. Sam fakt, że wiedzieli, że jesteśmy Żydami. Narażali się, bo wiedzieli, że nie wolno przetrzymywać Żydów, a wieś przecież wiedziała, że jesteśmy Żydami, a jednak nas przetrzymywali do jakiegoś momentu. Byli tam niektórzy, którym się to nie podobało, że my tam jesteśmy, ale jednak nas tam trzymali.

Wtedy, gdy już nas tak pobili, musieliśmy się rozbić, bo nie chcieli już nas tam trzymać. Mamusia wzięła troje dzieci i poszła do jakiejś stodoły. Tatuś musiał się przechować gdzieś indziej. Siostrę przechowywał też ktoś inny. A ja wstałam pięknego dnia i powiedziałam, że pójdę do drugiej wioski gdzieś pracować. Tam mnie nikt nie znał. Ja idę, już jestem na polu, już minęło pół dnia. Już byłam głodna i spragniona, ale idę. Raptem przede mną, zdaje mi się, że to była jaskółka - zaczyna robić takie rondo przede mną. Nie mogłam iść naprzód. Zaczęłam się strasznie denerwować, bo byłam przecież na polu. Już zaraz będzie po obiedzie i zanim ja dojdę do drugiej wioski, to będzie późno, a ten ptak mnie zatrzymuje. To ja sobie siadłam na bruździe i pomyślałam, że gdy usiądę, to on odleci. Wstałam, znowu idę, znowu ten ptak krąży przede mną i nie mogłam iść w żadnym wypadku. Znowu usiadłam i znowu ten ptak odleciał. Ja wstaję, znowu idę, a ten ptak znowu krąży przede mną. Zapadał już wieczór, to gdzie ja pójdę w nocy.

Dookoła Rozkopaczewa były lasy. To było takie miejsce, gdzie były tylko łąki i lasy, a gdzie ja miałam pójść w nocy sama jedna. Usiadłam i zasnęłam na przykucku, na bruździe. Rano wstałam i wróciłam do tej wioski, z której wyszłam i nie znalazłam rodziców, nie znalazłam nikogo. Słyszałam tylko, jak ludzie opowiadali, że w tej wiosce, do której miałam dojść, tam była rzeź. Wybrali kilku wieśniaków, dużo ludzi i zabrali do takiego wąwozu i tam było rozstrzelanie. Okazuje się, że jak to się mówi, to było przeznaczenie, zbieg okoliczności. Ten ptak uratował mi życie. Gdyby ktoś dzisiaj opowiadał mi takie rzeczy, to bym powiedziała, że ten ktoś śnił o czymś. Opowiada banialuki. Ale mnie zdarzyło się to osobiście. Ten ptak uratował mi życie!

Nazajutrz, gdy kręciłam się po tej wiosce i pytałam się wszystkich: może widzieli moją matkę, może widzieli dzieci. Przed wieczorem odnalazłam moją siostrę. Siostra wiedziała, gdzie są rodzice. Wtedy moja mamusia powiedziała: "Nie możemy się nigdzie utrzymać. Pójdziemy do Łęcznej". Zebrała dzieci i powiedziała do mnie i do mojej siostry: "Trzymajcie się razem dzieci, bo nie wiadomo, jak długo my będziemy żyć".

Muszę cofnąć się jeszcze wstecz. Gdy uciekaliśmy, widzieliśmy, jak Niemcy wkroczyli. Raz Niemcy weszli do tej wsi i musieliśmy uciekać. Mamusia wzięła małe dzieci, a my z siostrą z drugiej strony. Mamusia uciekała w stronę łąk. Za nią gonili polscy policjanci i zaczęli strzelać w ich kierunku. Strzelali im w nogi. Byli ranni albo nie, ale policjanci strzelali do nich. Wtedy uciekliśmy i ci policjanci wrócili.

Tego samego dnia złapali moją matkę z dziećmi i zapytali się jej: "Co ty się Żydowico tutaj kręcisz? Czego ty szukasz? Szukasz śmierci? To chodź, to my cię rozstrzelamy". Mama moja bardzo ich prosiła: "Zlitujcie się nad tymi dziećmi" i jakoś się wyprosiła u nich i matki ani dzieci nie rozstrzelali. Nie rozstrzelali nikogo i policjanci odeszli. Jeżeli ja chcę dzisiaj sobie przedstawić ten obraz, to on nigdy nie zniknie z mojej pamięci. Ja nigdy o tym nie zapomnę. Stałam z drugiej strony i oni nie wiedzieli, kim my jesteśmy z siostrą. Myśleli, że jesteśmy dziećmi ze wsi. Stałam i widziałam, jak Matka szła z dziećmi. Widziałam, jak oni strzelali do rodziców. W ogóle nie zastanawiałam się, że oni mogą ich zabić. Bo dla mnie wtedy pojęcie rozstrzelanie nie było pojęciem zabicia. Ktoś strzela, tylko strzela. Ja sobie teraz dopiero dokładnie przypominam ten obraz i jestem dość przytomna.

Ja sobie przypominam, jak mamusia błagała i prosiła ich. Tak samo, jak później moja mamusia prosiła, żeby ten Niemiec rozstrzelał nas, bo ona nie mogła dłużej patrzeć, jak on nas torturuje. Tak samo mamusia prosiła tego policjanta, żeby się zlitował i nie zastrzelił. Później widziałam, że oni wyjechali ze wsi i fakt, że nie zastrzelili ich. Od wtedy nie mogliśmy się więcej utrzymać w tej wsi, bo wtedy nikt nas więcej nie chciał trzymać.

Wtedy wróciłam z siostrą do rodziców. Siedzieli w stogu słomy. To była ich kryjówka. Wtedy rodzice postanowili, że idą w stronę Łęcznej, a my z siostrą, w drugą stronę, do Lublina. Rodzice postanowili początkowo, że wszyscy pójdziemy w stronę Łęcznej. W międzyczasie byliśmy na polnej drodze. Z daleka zobaczyliśmy, że jechała furmanka z dwójką koni. Ponieważ wszyscy wieśniacy, kto miał dwa konie, musiał jednego oddać na kontyngent. Więc kto jechał dwójką koni? Tylko Niemcy. Wtedy mamusia powiedziała: "Niemcy jadą!" Wtedy błyskawicznie rozeszliśmy się: matka z ojcem i trójką dzieci w jedną stronę, a my z siostrą w drugą stronę. Bez pieniędzy, bez żywności, bez niczego. Od tamtej pory nie wiem, co się stało z rodzicami, co się stało z dziećmi. Nic. Tak, jakby zapadli się w przepaść. Z siostrą szliśmy przez różne wioski. Ja nawet dzisiaj nie wiem, jak daleko może być z Rozkopaczewa do Lublina. Więcej ponad 20 kilometrów, ale to można zobaczyć na mapie. W międzyczasie było tam takie jezioro i tam

doszłyśmy. Moja siostra była bardzo mądrą dziewczyną. Powiedziała do mnie: "Jeżeli chcesz stać tutaj, to stój. Ja idę". Ja stałam i mówiłam sama do siebie. Patrzyłam na to jezioro i widziałam siebie, jak w lustrze i zaczęłam płakać: "Mamusiu, ja chcę do ciebie". Zaczęłam wstępować do wody. Chciałam się po prostu utopić. Szłam dalej i czułam, że ta ziemia była grząska i w ostatniej chwili, błyskawicznie przeszło mi przez mózg, że jeżeli się teraz utopię, to nikt mnie zobaczy. Komu ja coś powiem? Wyszłam z powrotem i zaczęłam krzyczeć do siostry. Ona powiedziała mi wtedy: "Jeżeli chcesz zostać, to zostań. Ja idę. Nie ma czasu, wieczór zapada". Biegłam za nią i zaczęłam krzyczeć: "Rachela, Rachela, poczekaj na mnie!" Ona wtedy odpowiedziała mi: "Ja nie jestem Rachela, ja jestem Marysia". Wtedy zaczęliśmy się nazywać różnymi imionami. Co jakiś czas zmieniałam swoje imię. Wtedy zaczęłyśmy wracać do Lublina. Weszłyśmy do jakiejś wioski. Nawet nie pamiętam, co to była za wioska i szukaliśmy gdzieś noclegu. Doszłyśmy do jakiegoś domu i wtedy zaczęły strasznie szczekać psy. Słyszałyśmy, że ktoś otwiera drzwi i zaczyna krzyczeć: "Do cholery! Kto tam się kręci! Psy szczekają, a nikogo nie widać!" Tam był blisko las. Dzisiaj wyobrażam sobie, że ci ludzie myśleli, że to może ktoś z lasu, że to może partyzanci? Ludzie bali się tak samo partyzantów jak Niemców. Partyzantów też się bali, bo przychodzili rabować, brać żywność. Gdy ten człowiek tak krzyczał, my poszłyśmy dalej. Za stodołą znalazłyśmy stóg i tam przespałyśmy się w słomie. Nad ranem znowu szłyśmy, znowu w stronę Lublina.

| | |
|-------------------------|--|
| Data i miejsce nagrania | 1998-12-01, Bat Yam/Izrael |
| Rozmawiał/a | Robert Kuwałek |
| Transkrypcja | Robert Kuwałek |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |